

WIESŁAW GODZIC

UNIWERSYTET SWPS, WARSZAWA

Dziennikarz diagnozuje, dziennikarza leczą...

Czy redaktor Andrzej Skworz chciałby być doktorem Housem? Ten pierwszy jest redaktorem naczelnym miesięcznika branżowego zajmującego się mediami. Ten drugi, grany przez Hugh Laurie'ego, to postać z serialu *Doktor House*. Jak widać, dzieli ich bardzo dużo. To zaś, co ich łączy, nazwałbym skłonnościami do strategii diagnostycznej. Serialowy lekarz jest geniuszem: spojrzy na pacjenta, zapyta o banalną rzecz sprzed lat, odległą pozornie od symptomów — i diagnoza gotowa. Redaktor Skworz z okruchów z wyższej półki tworzy medialny obraz mijającego miesiąca. (wyższa półka oznacza, że interesuje go wprawdzie, kogo wyrzucono z pracy, ale nie to, kto jest czym aktualnym partnerem). Redaktor tworzy obraz, ale czy potrafi rozpoznać chorobę drążącą polskie media i czy zna na nią lekarstwo?

Tego wszystkiego nie wiem, ale spróbuję na potrzeby tego miniartykułu zrekonstruować obraz wytwarzany przez ważny miesięcznik. Pytam o to, czy redaktor (i jego czasopismo) są „obiektywni” w potocznym sensie. Interesuje mnie stan ducha redaktora: czy grają w nim emocje,

czy udaje mu się zachować powściągliwość i zimną logikę. Pamiętajmy ponadto, że cel, który badacze mediów stawiają przed sobą od pewnego czasu, dotyczy nie tyle „uzdrowienia dziennikarstwa”, co jego zrozumienia. Czy lepiej rozumiemy media dzięki Skworzowi, czy pomimo jego edytoriali?

Warto zapytać także, czy artykuły wstępne redaktora Andrzeja Skworza, zamieszczone w redagowanym przez niego miesięczniku branżowym „Press”, zawierają motywy krytyki czy bojaźni przed celebrycką aurą, do której mogą się zbliżać dziennikarze (według mnie — już weszli na ten teren, nie wiem tylko, czy z ochotą i świadomie tam się zagnieździli).

Możliwość rozstrzygnięcia w tej kwestii jest trudna, gdyż „Press” ma bardzo wyrazistą okładkę, na której znajduje się zdjęcie człowieka mediów — z nim odbywa się wywiad wewnątrz numeru. Wiele z tych portretów ma charakter surrealistyczny — postaci ustawione są w śmiałych, niekiedy odlotowych pozach. Wyrazista mimika ich twarzy lub akcesoria zawodowe pozwalają niekiedy myśleć o dziennikarzu ze zdjęcia jako o celebrycie — wszak jednym z warunków tego statusu jest umieszczenie jego zdjęć na okładkach. A jednak w ogromnej większości przypadków zamieszczony wywiad rozbija w puch takie przekonanie. W wywiadzie bowiem mało kto „gwiazdorzy”, najczęściej zaś dochodzi do niebanalnego odkrycia ciekawej strony osoby znanej z mediów. Poddałem analizie zawartość treściową edytoriali redaktora naczelnego, zamieszczonych na stronie trzeciej każdego numeru miesięcznika od listopada 2014 roku do lipca 2015 roku, a następnie po krótkiej przerwie od listopada 2015 roku do maja 2016 roku.

Wszystkie numery przedstawiają sylwetkę Andrzeja Skworza w pozie zdobywcy: pełna sylwetka redaktora



w przepisowym dla menedżerów garniturze, bez krawata, w lekkim rozkroku. Splecione dłonie, pewne spojrzenie, lekko uśmiechnięta twarz (czy nie lekko cyniczna?), stwarzają nieodparte wrażenie człowieka sukcesu — jednocześnie tego, który wie więcej i może dokonać czegoś więcej niż normals.

W numerze 11 (2014) w artykule *Sami sobie* Skworz zajmuje się obowiązkiem dziennikarskiej autoryzacji — ocenia, że wiele tekstów po tzw. autoryzacji wróciło do redakcji jako nowe teksty. Wyraża obawę: „[...] najbardziej zdumiewa mnie, że za autoryzacją są nie tylko politycy, ale większość dziennikarzy”. Podaje jedną z propozycji: redakcja przysyła pytania, a rozmówca odpowiada na niektóre z nich. Konkluduje sarkastycznie: „Wytłumaczenie trzeźwemu zagranicznemu koledze, jak u nas funkcjonuje i do czego służy autoryzacja, jest skazane na niepowodzenia”. To głos silnie środowiskowy (my-dziennikarze), który jednak — bądźmy tego pewni — szybko potrafi zmienić się w my-niektórzy-dziennikarze. W tym numerze czytelnik znajdzie także materiał dotyczący Anny Lewandowskiej, zatytułowany *Od sportsmenki do celebrytki*. Pani Anna, reprezentantka Polski w karate klasycznym, jest znana ponadto (bardziej?) jako żona Roberta, piłkarza. Dowcipny jednostronicowy tekst zawiera drogę jej celebryckiego i sportowego rozwoju oraz wypowiedzi ekspertów. Ich ton przekonuje, że jest to bardziej przypadek celebrytki i filantropki aniżeli gwiazdy sportu, która świeci dzięki własnym osiągnięciom. Wydaje się, że redakcja zna zakres i siłę zjawiska celebrytizmu — nie uważa jednak, że miałby to być temat poważnych rozważań. A naczelny wie, co w dziennikarskiej duszy gra i przestrzega przed celebrycką skłonnością: „Sportowi celebryci, dziękuję. Zajmijmy się poważnymi sprawami”. Pogratiulować głębokiej wiedzy o tym: „co jest dobre, a co złe, co poważne, a co nie”.

W numerze grudniowym z 2014 roku na okładce widać parę telewizyjnych publicystów — Jana Wróbla i Romana Kurkiewicza, zaś artykuł wstępny *Robić, nie gadać* dotyczy polskiego kultu gadania, w istocie nienormalnej relacji znany polityk—dziennikarz. Skworz proponuje rewolucyjną zmianę: w czasie rozmowy dziennikarz nie powinien oddawać głosu politykowi, ale wyłącznie relacjonować jego wypowiedzi. Miejsce polityka znajduje się bowiem wśród wyborców oraz w pracy (parlamencie, biurze poselskim), a nie w mediach. Bo przecież nie mówimy o celebrycie, lecz o urzędniku.

W tym numerze pojawił się wątek celebrycki. Chodzi o Romana Giertycha, byłego wicepremiera i aktualnego polityka, który „z mediami żyje w symbiozie: one mają ciekawego rozmówcę, a on publicity”. Giertych — w opinii autora edytoriału — reprezentuje typ polityka bliskiego celebrycie, który nie jest zwyczajnym ekspertem w jakiejś dziedzinie, lecz stoi po czyjejs stronie. Bycie innym, odróżniałym od pozostałych powinno być cechą tego zawodu.

Numer styczniowo-lutowy z 2015 roku prezentuje na okładce Piotra Andrusieczko, zdobywcę Grand Press (prestżowej nagrody przyznawanej w grudniu w kilku kategoriach). Artykuł wstępny, zatytułowany *Papier cierpliwy*, przynosi refleksję dotyczącą końca mediów (głównie drukowanych). Skworz pisze: „Internet przejmuje od mediów wszystko — z wyjątkiem dziennikarstwa. Po co ma sobie przysparzać kosztów?” Gdyby wierzyć przepowiedniom, to już nie mielibyśmy prasy, a telewizja zbliżałaby się do końca. Tak nie jest i nie będzie się działo — prognozuje Skworz. Papier wytrzyma w podwójnym sensie: jeszcze długo utrzyma się prasa drukowana, mimo rozmaitych prognoz. Ten numer zawiera przykłady interesujące dla porównania postaw dziennikarskich wobec mediów, a w istocie wobec celebrytów — głównych bohaterów tej



sfery. W artykule *Multimedialni* zapytano dziennikarzy o ich zdolności w zakresie radzenia sobie z nowoczesnym instrumentarium. Nieliczni potrafią zrobić „wszystko lub prawie wszystko” bez pomocy działu IT. Niektórzy twierdzą, że są „osłuchani” w tym zakresie (Bartek Chaciński). Inni uważają: „[...] im bardziej jestem na bieżąco, tym mam silniejsze wrażenie, że coś mi ucieka”. Wydaje się, że blisko w tym artykule koncepcji dziennikarza rozumianego jako przeciwieństwa celebryty — tego, kto nie kreuje czegoś nowego (w końcu to jakiś przywilej celebryty), lecz próbuje nieustannie nadążyć. Nadążyć za językiem najmłodszej polszczyzny, na przykład.

Tutaj znajduje się analiza postaci Włodzimierza Zientarskiego: showmana, celebryty, prezentera. O medialności dziennikarza sportowego mówią inni dziennikarze, a nie on sam o sobie. Podkreśla się jego umiejętności tworzenia narracji: opowiada z emocjami, wciąga widza — a przy tym potrafi ukrywać swoją niewiedzę. O ile pan Włodzimierz wydaje się akceptowany przez środowisko, inne cechy niż showmeństwo najwyraźniej przesądziły — to pozostali dziennikarze reprezentujący styl celebrycki raczej nie są akceptowani. Zwycięzca Grand Press otrzymał 51 głosów, natomiast Mariusz Max Kolonko, Jarosław Kuźniar i Wojciech Cejrowski tylko po 5 głosów. Jeden z nich, Jarosław Kuźniar, jest ceniony ze względu na „świeży styl”; umiejętność utrzymywania kontaktu z widzami; za wiarę w nowe media i umiejętne wykorzystanie siły Twittera.

Marcowy „Press” karci środowisko we wstępnym felietonie naczelnego *Baty*, *nie nagrody*. Dostrzega on groźne konsekwencje braku reakcji środowiska dziennikarskiego na pierwsze doniesienia o molestowaniu pracowników mediów: „I oto w mediach stanęliśmy przed problemem, że wszyscy wiedzą, o czym mowa, ale nikt niczego głośno

nie powie z obawy, co zrobią z nim media. Nie ma lepszego dowodu na to, jak zeszmaciliśmy ten zawód”. Zeszmaciliśmy czy nie — to nie tak łatwo ocenić. Blisko niesprawdzonego newsa stoi informacja „że wszyscy wiedzą”, czyli plotka — i jej także należy bardzo się obawiać, gdyż w przypadku takiego zdarzenia, w przypadku, w którym nie wiesz, jak się zachować, pozostaje zachować się dwójako. Albo siedzieć cicho, albo stać się źródłem, bo potem zostaje ci tylko stać się tematem — konkluduje Skworz.

Numer IV otwiera zdjęcie Wojciecha Zimińskiego w... stadzie nosorożców, zaś felieton zatytułowany został *Dziadek z Newsweeka*. Dotyczy hipokryzji myślenia niektórych czołowych dziennikarzy: „Droży redaktorzy, naprawdę nie wiedzieliście, że nie można bez obrazy dla logiki odrzucać stylu »Resortowych dzieci« i jednocześnie mu ulegać”. Dziennikarzem nie jest ten, kto gromadzi i ukrywa zdobyte informacje, ale ten, kto o nich pisze. Skworz bardzo wyraźnie sytuuje się jako sumienie zawodu dziennikarskiego — ocenia, ruga, ale także zachęca do podjęcia pożądanych działań.

W majowym felietonie redaktor „Pressu” sięga, jak zawsze, po następny gorący temat. Tym razem jest to samobójstwo niemieckiego pilota, który roztrzaskał samolot pełen pasażerów. Tytuł *Wymażmy ich* zwraca na siebie uwagę, nawiązując do szeregu postaci w kulturze, które chcą zapisać się w pamięci czymkolwiek: nawet doprowadzając niewinnych do śmierci. Skworz pisze: „Niekórzy czytelnicy uważają wręcz, że taki bardziej krytyczny tekst jest jeszcze lepszą promocją danej osoby”.

Numer VI, po wyborach prezydenckich, rozpoczyna się artykułem wstępnym *Stało się*, chyba niepotrzebnie zbyt emocjonalnym. Czytelnik nie znajdzie w nim wśród przyczyn kłęski „pewniaka” — Komorowskiego oddziaływania mediów: wszak to wyborcy mają wskazywać



prezydenta, a nie dziennikarze. Jest tutaj jednakże wątek osobiście rozliczeniowy: „Mocniej od »Gazety Wyborczej« pierś do orderów u sztabowców Dudy może wypinać Kuba Wojewódzki”. Skworz nawiązuje do rozpaczliwych prób prezydenta Komorowskiego zdobycia elektoratu showmana i wizytę w jego audycji. Nie jestem pewny, do czego miałyby służyć Kuba jako przewrotny dostarczyciel głosów przeciwnikowi prezydenta, skoro wiadomo było o rozczarowaniu showmana formacją polityczną Komorowskiego. Felieton w numerze VII dotyczy *Dziennikarzy teoretycznych*, co jest nawiązaniem do afery podsłuchowej. Nagrani przez kelnerów członkowie rządu mówili o Polsce jako o „państwie teoretycznym”.

Jeśli przyszłoby do zrekonstruowania stosunku „Pressu”, najpoważniejszego magazynu środowiska dziennikarskiego, do dziennikarzy-celebrytów, to trzeba powiedzieć, że mają oni wpływ, chociaż nie wiadomo czy istnieją. Nie podjęto poważnych dyskusji nad celebrytizmem jako szansą i niebezpieczeństwem jednocześnie. Niekiedy celebryci — samo ich istnienie — zostają zauważeni, ale ten fakt nie prowokuje do poważniejszej refleksji. Odnoszę wrażenie, że „Press” broni się przed taką tematyką — co najwyżej skwituje ironicznie istnienie dziennikarzy tabloidowych i celebrytów jakimś zwietrzałym dowcipem (suchar — to adekwatne określenie). Czy role dziennikarzy-celebrytów są ułożone wedle jakiejś hierarchii? Czy są zmienne w czasie? Czy to stygmat na stałe, czy można z tego stanu wyrosnąć albo przejść jak chorobę? Jak blisko dziennikarza (choć często odmawia się im tego określenia) tabloidowego znajduje się celebryta? Tego nie wiemy po lekturze „Press”. Namawiam do podjęcia takiej refleksji. Oby nie było za późno! Już słyszę odgłosy dziennikarskich celebrytów: wprawdzie to nie jest już zgiełk i chaos, ale też daleko im do pozostawiania w karnych szeregach.

Numer październikowy „Pressu” z 2015 roku przynosi felieton Skworza zatytułowany *Arbiter elegantiarum*. Dotyczy zwolnienia dyscyplinarnego Ewy Wanat z funkcji szefowej RDC. Skworz odgrywa rolę „związkowca o ludzkiej twarzy”: kpi z nieuzasadnionych i niejasnych przyczyn zwolnienia cenionej dziennikarki. Podkreśla, że takie działania konsolidują rywalizujące grupy dziennikarskie. Redaktor Skworz nie byłby sobą, gdyby przy okazji nie ugodził celnie tabloidu: „I tylko jak zawsze można było liczyć na »Super Express«. Wielki sukces »Super Expressu« — krzyczał tytuł z 14 września. Tabloid cieszył się: „Ewa Wanat została zwolniona dyscyplinarnie! Sprawa została nagłośniona przez »Super Express« kilka tygodni temu, kiedy to Wanat zamieściła na swoim profilu obraźliwy wpis na temat dzieci państwa Elbanowskich. Dzięki naszej publikacji redaktor naczelna została ukarana”.

Listopad — niebezpieczna pora dla Polaków. Rzeczywiście, potwierdzenie przynosi listopadowy numer „Press”. Nie jest dobrze, gdy część środowiska uznaje aferę podsłuchową za ważny news, gdy tymczasem inna grupa bagatelizuje zdarzenie. Bo dziennikarze często funkcjonują w światach równoległych i oni sami decydują, który z nich jest dobry, a który niewłaściwy. Dziennikarz, potwierdza Skworz, lekceważy przyszłość (tu wskazuje na Grand Video Awards):

Lecz o ile jakoś jestem w stanie zrozumieć odklejenie dziennikarza w poczuciu, że posiadał tę jedną, jedyną mądrość — bo przecież czymś trzeba karmić dziennikarskie ego — to nie rozumiem odwrócenia się od świata, w którym żyją przyszłe pokolenia naszych odbiorców. Poczucie utraty, które będzie towarzyszyć temu przebudzeniu, może być bardziej bolesne.

Chętnie potwierdziłbym Twoją diagnozę, Andrzej, gdyby nie to, że na uczelni (niezłej) ja też żyję w świecie równoległym (niejednym). Przepaść między ich (studen-



tów) kompetencjami, a tymi, którymi często chwali się moje pokolenie, jest ogromna. Samo uświadomienie sobie, że oni mogą być lepsi i dużo więcej wiedzieć to krok we właściwym kierunku i bolesny jednocześnie. A zgodzić mi się trudno, że oni będą Waszym „przyszłym pokoleniem odbiorców”. Grupa, dawniej zwana odbiorczą, jest dzisiaj skrajnie nieprzewidywalna.

W grudniowym numerze „Press” z 2015 roku redaktor naczelny Andrzej Skworz kreśli krajobraz po PIS-owskiej rewolucji medialnej. Wszystko zostaje nazwane po imieniu i nie ma miejsca na nieprzebne peryfrazy, że to niby jakaś „partia rządząca” jest winna. Być może w tym momencie Skworz wysforował się przed szereg, ale jego propozycja już nie. Proponuje mianowicie, żeby w sytuacji zagrożenia wolności słowa i zwiększonego nacisku dziennikarze robili to, co najlepiej robić potrafią. Powinni źle rządzący świat opisywać: „spisane będą czyny i rozmowy”. Pomysł dobry, bo banalnie prosty. Inna rzecz, że rzeczywistość jest najbardziej finezyjnym scenarzystą. Skworz nie był w stanie przewidzieć, że 6 miesięcy później „dziennikarz” będzie nie tylko interpretował w szczególny sposób wypowiedź prezydenta USA w Polsce. Będzie ją także najwyczałniej cenzurował i poddawał fizycznej manipulacji. Cenię Skworza bezpośredniość wypowiedzi i wyrazistość postawy. Nie wiem, jak mógłby postąpić inaczej, żeby nie być oskarżonym przez brać dziennikarską o jednostronność.

Numer styczniowy (podwójny, także lutowy) z 2016 roku od pozostałych różni znaczny poziom emocji, co prowadzi na koniec do użycia przekleństwa: „Liczyć, do cholery, umiemy”. Irytacja jest zrozumiała, gdy chodzi o podstawowe kwestie etyczne zawodu dziennikarza. Skworz tylko na pierwszy rzut oka jest bałamutny w tej kwestii. Lansuje bowiem pogląd: „I tak samo słabo, gdy do przemówień na wiecach wyrrywają się dziennikarze. Co

innego brać udział w marszu, by pokazać swój sprzeciw. A co innego chcieć porywać tłumy, stać się wiecowym celebrytą. Dziennikarz, dopóki mu nie zamkną anten i gazet, ma stokroć lepsze fora do wystąpień”. To pogląd, za głoszenie którego można być znienawidzonym przez środowisko. W każdym razie występuje się przeciwko tym z lewej i tym z prawej. W imię czego i ile trzeba zapłacić za taką postawę?

Numer marcowy (2016) kontynuuje opis kolejnych działań spod znaku „dobrej zmiany”. Swoją felieton opatrzył tytułem *Po nazwisku*, przestrzegając w nim aktualnych zwycięzców przed nastrojami triumfalizmu:

Nie wystarczy pozbyć się Janowskiej z TVP, zaraza będzie się szerzyć i bez niej. Co więcej, także wtedy, gdy PiS już u władzy nie będzie. Bo jak mówił Sławomir Sierakowski na demonstracji KOD: „Ja tu przyszedłem nie tylko dla tych, których nowa władza wymienia z nazwiska (co dzieje się po raz pierwszy po '89 roku): Piotra Kraśki, Karoliny Lewickiej, Tomasza Lisa, ale przyszedłem także dla Bronisława Wildsteina, Jana Pospieszalskiego, Rafała Ziemkiewicza i innych prawicowych dziennikarzy. Kiedyś może pojawić się jakiś inny prezes, który zacznie wymieniać ich z nazwiska, zapowiadając wyrzucenie z pracy”.

W numerze IV (2016) rzeczywistość skrzeczy, czyli rządu. Felieton kończy się autentycznym apelem, co rzadko zdarza się w tym gatunku: „Pomyślmy, czy na pewno nie możemy im w żaden sposób pomóc?”. Pomóc trzeba dziesiątkom dziennikarzy mediów publicznych zwalnianym przez nowe władze. Jest rzeczywistość „po nazwisku”, jeśli chodzi o ofiary, ale Skworz nie przebiera w słowach, gdy wydaje mu się, że brak reakcji Agnieszki Romaszewskiej-Guzy w tej sprawie jest hipokryzją z jej strony. To nie jest normalna zmiana. To jest polityczne działanie, skoro zwalniani nie są gorsi od przyjmowanych.

Niestety, z biegiem miesięcy redaktor Skworz staje się coraz bardziej zjadliwy i ponury jednocześnie. Nie



mam mu tego za złe — i tak długo grał chłodnego arbitra na tym zwariowanym poletku, jakim są media. W numerze 5 (*Desperaci*) wyraża niewiarę (z jednej strony), że można ważne ustawy przeprowadzić szybko, gdy poprzednie rządy były bierne w tych sprawach. Z drugiej zaś strony patrzy z niedowierzaniem na karuzelę zwolnień i powołań na fotele (które są zawsze pod nadzorem — a nie jest nim suweren).

Numer VI (i ostatni, którym się zajmujemy) kończy pewną myśl zawartą w „Pressie”, jeśli można tak powiedzieć o organizmie żywym, komentującym aktualne zjawiska. Tytuł tego wstępniaka brzmi *Odważni przed*, a lid — *Odważny dziennikarz potrzebuje odważnego obywatela*. Tekst staje się coraz bardziej środowiskowy, branżowy — jak na ogół mówi się o tym miesięczniku. Ktoś nie miał odwagi powiedzieć prawdy, za to stał sprostowania. Po wyrzuceniu chciałby jednak dopiec dotychczasowemu. Redaktor Skworz często obnaża swoje uczucia, gdy uznaje, że ma do tego powody. Tym razem powodem jest przyzwolenie na ułomności natury człowieka, rozumiane jako „ludzkość”. Pisze: „Ta »ludzkość« wkurza najbardziej, gdy źle wobec mediów zachowuje się dziennikarz, człowiek słowa. On wie najlepiej, czego media potrzebują, dlatego stara się je zbyć, unika odpowiedzi lub postępuje się ogólnikami, by na koniec jeszcze wycofać się ze wszystkiego, co udało mu się powiedzieć”.

Kim jest kolega z dziennikarskiej ławy, który przyznaje sobie prawo do oceniania i stawiania zarzutów. No właśnie jest „tym-kto-przyznaje-sobie-prawo” — bo przecież ktoś ma nad nami tyle władzy, ile sami mu przyznajemy.

Skworz wyraża więc najlepsze tradycje (w Polsce to raczej ciągle projekt) społeczeństwa obywatelskiego, charakteryzowanego ponadto przez samodzielność eko-

nomiczną. Nie lekceważąc żadnych ciał kontrolnych (np. KRRiT), a nawet kontrolerów środowiskowych (np. Rady Etyki Mediów), odnosi się wprost do takich czynników ocen dziennikarzy, jak: uczciwość, sprawiedliwość, przyzwoitość. Rady przeminą, przyzwoitość pozostanie.

Instrumentem takiej obywatelskiej i branżowej jednocześnie kontroli jest licząca się nagroda dziennikarska Grand Press. Na ogół w tej profesji przyznaje się nagrody w ramach zamkniętych obszarów ideologicznych. Grand Press to jedyne miejsce (pomijając pogrzeby), na których można spotkać jedynie słusznych redaktorów X i Y oceniających się wzajemnie i z podobną siłą jako źle-piszący-idioty.

Pole działania redaktora Skworza, umiarkowanego szeryfa, kurczy się gwałtownie i radykalnie. Z „ciennikarzami” tabloidowymi wstyd rozmawiać, nie lepiej w stosunku do mizdrzących się celebrytów. Z tymi, z którymi blisko nam do światopoglądowej opcji, możemy rozmawiać na zasadzie: „ja miałem lepiej”, albo „zrozumiemy się bez słów”. Z przeciwnikami nie porozmawiasz, żeby nie denerwować się. Pozostaje grupka przyjaciół i osamotnienie. Skworz nie jest w tym przypadku szczególną postacią, a „Press” nie odgrywa roli arki przynoszącej ratunek. Coraz dosadniej przekonuję się, że jego głos przypomina ten, który polszczyzna łączy z pustynią. Wiem, że powstają szkoły i studia dziennikarskie na różnych poziomach. Jestem pewny, że dziennikarz w jakiegokolwiek roli może zdziałać dużo dobrego w społeczeństwie. A jednak radykalną naprawę musimy odłożyć i złożyć na barki następnego pokolenia. Ono — z dronami za pan brat — wyliczy natychmiast liczbę ofiar katasfrody kolejowej, i na tym pewnie poprzestanie, porzucając miękkie metody opisu świata na rzecz pełnego DNA ofiar tragedii.



Zwracam uwagę na jeszcze jeden wątek na styku wstępników w „Pressie” i świata polskiego dziennikarstwa. „Słuchał tego i sam zaczął o tym mówić, przez co to stawało się ważne” — tak kulturoznawcy zdiagnozowali postawę Jacques’a Lacana. Francuski terapeuta zaczynał sesję od słuchania, zapomnianej czynności w dziennikarstwie. Słuchanie albo wszelkie sztuczki stwarzające iluzję bycia nastawionym na wypowiedź gościa to podstawa psychoanalizy. Skworz słucha (jeśli nawet udaje, to robi to dobrze): wsłuchuje się w głosy środowiska (lub tylko środowiskowe mruczenie pod nosem). Dla dziennikarzy to bardzo ważna czynność. Podkreślam istotność drugiego członu tej opinii — w ustach redaktora wasze słowa stają się ważne, skoro On je wypowiedział. Jego przyjęcie słów Waszych, przepracowanie ich i przepuszczenie przez własne „ja” powoduje, że możecie obniżyć poziom narcyzmu: „To nie tylko ja tak myślę, inni myślą podobnie”. To nic złego: przecież zawsze stajemy się bohaterami własnych historii. Nie sugeruję, że redaktor Skworz ma wybujałe ego i zajmuje miejsce, które mu się nie należy. Wprost przeciwnie: jego usta najczęściej wypowiadają to, o czym myślimy. A człowieka, zajmującego taką pozycję, kochamy (czasem nienawidzić).